

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Nowy pogląd na Marię Stuart

OSKARŻYCIELE I OBRONCY

Eryk Linklater, autor wydanej przed kilku miesiącami książki o Marii Stuart (Mary Queen of Scots), dedykuje ją malarzowi Stanley'owi Cursiterowi, rodakowi z wysp Orkney. To miejsce urodzenia Linklatera łączy się z historią Marii właśnie w tym punkcie, który wrogom królowej dostarczył najniebezpieczniejszej broni i fatalnie zaciężył nad pamięcią nieszczęśliwej. Oto morderca drugiego jej męża Darnley'a zażądał jej osobą i zmusił ją do małżeństwa. W kilka dni później Maria uroczyście przebaczyła mu porwanie i mia nowała go księciem Orkney.

Nie ulega dziś wątpliwości, że Maria została przez szkockich protestantów i przez Anglików oczerniona. W walkach politycznych i religijnych nie przebiegało w owym czasie w środkach. Szereg potwarzy brzmi tak nieprawdopodobnie, że szkoda wogóle się nimi zajmować. Dla posępnego reformatora Knoxa ulubione rozrywki Marii, taniec, muzyka i poezja były same przez się czymś zbrodniczym. Nie robiło mu więc żadnej różnicy dodać jeszcze parę występów, które i dla nas są występami. Kupiony przez ambitnego, a zdradzieckiego brata Marii, wielki humanista Buchanan, służył mu piórem, jak umiał najlepiej i zmyślał o niej historyjki zupełnie w stylu „Dekameronu”...

Lecz pozatem istnieje jeszcze materiał poważniejszy — istnieją słynne *Casket Letters* (listy ze szkatułki), które posłużyły przeciw Marii po jej schronieniu się na ziemię angielską. Istnieją albo nie istnieją — bo zaginęły przed trzystu laty zgóra, a zachowały się tylko w odpisach, więc niema sposobu zastosowania do nich naukowego ryguru. Ktokolwiek był ich autorem — Linklater podejrzewa Maitlanda z Lethington, nawiasem mówiąc, zdrajcę, który za pieniądze służył Elżbiecie — miał duży talent i świetnie umiał wywołać wrażenie prawdy psychologicznej. Lecz porównanie pewnych ustępów i szczegółów z innymi źródłami współczesnymi przemawia zupełnie stanowczo przeciw autentyczności listów. Udowodnił to niemiecki uczony Onken, a jego wywody wzmocniło swymi argumentami kilku Szkotów, między nimi Andrew Lang, i Anglików.

Czy jednak zbyt wielką wagę należy przywiązywać do zagadnienia ewentualnej wiedzy Marii o przygotowywaniu morderstwa Darnley'a? Czy nie potępia jej sam fakt, że poślubiła mordercę?

Linklater twierdzi, że nie. Przeczy, jakoby Maria umyślnie dostała się w ręce Bothwella, i twierdzi, że chciała się z nich wydostać, a objawy czułości dla trzeciego męża w chwili, gdy opuszczony przez wojsko pod Carbery, rozstawał się z nią i udawał na tułaczkę po świecie, tłumaczy stanem odmiennym

POSTAĆ Z LITERATURY

Nasuwa się jednak jeszcze jedno pytanie. Maria Stuart jest dla nas dziś już nietylko postacią historyczną, ile bohaterką niezliczonych utworów literatury pięknej. Gdyby nawet badania naukowe przyniosły zupełną rehabilitację Marii, przyjąłby to do wiadomości jedynie szczupły zastęp dziejopisów i ludzi, interesujących się ich studjami. A reszta świata czerpałaby swoje poglądy z Schillera, Scotta, Słowackiego, Swinburne'a, Drinkwata, Hewletta...

W tym wypadku sąd zależałby od wyboru, bo każdy z poetów, dramaturgów czy powieściopisarzy, dał nam inny obraz królowej szkockiej i inne rozwiązanie psychologicznej zagadki, jaką stanowią jej charakter i dzieje.

Trzeba jednak zaznaczyć, że olbrzymia większość utworów o Marii, w tym zaś właśnie najslawniejsze i najbardziej znane, powstała w okresie, kiedy protestancki punkt widzenia panował niepodzielnie w historiografii, kiedy jeszcze nie kwestionowano autentyczności *Casket Letters*.

Mimo to literaci rzadko zdobywali się na wyrok potępienia. Pełna majestat, zdobna uroda i wdzięki, a tak nieszczęśliwa królowa wywierała na nich wpływ magiczny. Wierzyli surowym dla niej historykom. Byli nie-raz, jak Scott i Schiller, sami protestantami. A przecie czuli żywą sympatię do Marii. Scott odmówił napisania o niej książki historycznej, co proponował pewien wydawca, a umotywował odmowę rozdziwkiem, istniejącym u siebie między sercem a głową. W powieści zaś „Opat” przedstawił Marię więzioną w Lochleven jako niewiastę pełną ładu królewskiej godności. Cofnął się więc przed odtwarzaniem niebezpiecznych momentów. Podobnie postąpił Schiller, pisząc tragedię o śmierci Marii. Obaj woleli skupić światło na cierpieniach i pokucie, a zostawić w półcieniu winę, w którą wierzyli ((Maria u Schillera spowiada się z udziału w śmierci Darnley'a).

Surowszym był młody Słowacki, malując królową słabą, chwiejną, ale w gruncie rzeczy przewrotną i obłudną. Swinburne uczynił z niej sadystkę, zabijającą mężczyzn, których kochała. Tym sposobem uzyskał pożądaną dla siebie koncepcję tragiczną. Maria posyła na szafot Chastelard'a, francuskiego poetę, który dwukrotnie ukrył się w jej sypialni (historyczna Maria rzeczywiście zrobiła to — za drugim razem). Później przyczynia się do zamordowania Darnley'a, z którym zaznała rozkoszy miłosnej. Za krew obu zapłaci własną.

Bardzo sympatycznie wychodzi królowa u Drinkwata. Jest tu ona jedynie kobieta, spragnioną miłości, ona jedyną zлыми i nikczemnymi ludźmi. Pada ofiarą najgorszego i najnikczemniejszego, Bothwella, przegrywając i szczęście, i tron, i dobrą sławę.

W jednym zgadzają się wszyscy — w obrazie przewrotnego świata, pełnego zbrodniczej ambicji, zdrady, dzikości i fanatyzmu. Od takiego tła odbija korzystnie postać Marii, nawet niedoskonałej.

LINKLATER APOLEGETA

Linklater pisze również z aspiracjami literackimi, starając się o siłę wyrażenia, chętnie używając wyrazów obrazowych i umiejętnie grupując efekty. Ale jest równocześnie historykiem. Pilnie przestudjował źródła, zwłaszcza stare źródła, pochodzące od współczesnych. Rzecz dziwna, że nie sięgnął do Onkena. Nie wymienia go w swej bibliografii. Coprawda znał jego argumentację z późniejszych dzieł brytyjskich.

Książka jest bowiem rehabilitacją i apologią. Można by przysiąc, że Linklater przystąpił do przedmiotu z naprzód powziętym sądem, jaki dyktował mu szkocki sentyment. Umie wszystko usprawiedliwić i wszystko wyjaśnić. Jego Maria jest zawsze ofiarą, nigdy winowajczynią.

I trzeba przyznać, że w ogromnej większości wypadków argumentacja Linklatera przekonywa. Walczy on skutecznie z potwarzami wymysłami wrogów Marii i surowością wierzących im dziejopisów. Niezmiernie efektownie charakteryzuje również owych wrogów.

REFORMATOR SZKOCJI

Najświetniej wypada sylwetka Knoxa, któremu przypadło honorowe miejsce na samym początku książki. Pozwolił sobie ten ustęp przetłumaczyć:

Pierwszą Mrs. Knox zmarła w grudniu r. 1560, ale boleść reformatora zlagodził wnet boski zbieg okoliczności, który tak często każdemu dobremu wieściom sąsiadować ze złem. Doniesiono mu z Francji, że umarł również młody król i czuł się szczęśliwym na myśl, że jego katolicki cień nie zagraża już tronowi szkockiemu. „Patrzcież”, pisał, „potężna ręka Boża zesłała nam z wysoka cudowne i nad wyraz radosne wywołanie. Albowiem nieszczęśliwy Franciszek, małżonek naszej królowej umiera nagle z choroby ucha — tego głuchego ucha, które nigdy nie chciało słuchać prawdy Bożej.”

Obraz Knoxa, radującego się nad łozem bolesnej śmierci, może być niesmaczny lub nawet oburzający dla ludzi, mających rozrywki i bardziej urozmaicone, niż mogły być jego rozrywki. Trzeba jednak na jego korzyść przypomnieć, że jego religia skazała na banicję tyle rodzajów przyjemności, iż pozostałe sposobności jej doznania zyskały wyborną wartość czegoś rzadkiego. Dla kalwinisty taniec był grzechem, muzyka ohydą; w Genewie stanowiło zbrodnie zawiązać w szafie strojne szaty lub podawać na stół za wiele potraw; rozpustnicy zaś musieli często czuć zimny dreszcz w łóżach, gdy przypominało im się, że w razie wykrycia niedozwolonych miłostek jedną z kar jest utopienie.

Skon lub klęska jednego z nieprzyjaciół czyichś lub Kościoła kalwińskiego były tedy między niewielu dozwolonymi sposobnościami uciechy, jeszcze pozostającymi narodowi wybranemu Genewy i Kongregacji Chrystusowej Szkocji, a wieść, że młody król katolickiej Francji, katolicki mąż królowej szkockiej został ukarany za nieprawość własne i swego kraju kazeniem i zapaleniem ucha, tak bolesnym i gwałtownym, iż spowodowało śmierć, niewątpliwie wniosła coś w rodzaju kwietniowego święta w zimną technicę życia Johna Knoxa.

Trudno o bardziej wyrazistą charakterystykę i Knoxa i szkockiego kalwinizmu.

1) Franciszek II., zmarły w wieku lat 17, był pierwszym mężem Marii Stuart.

NOWE UJĘCIE CHARAKTERU MARI

Przyzwyczajaliśmy się wyobrażać sobie Marię Stuart jako cudną kobietę, przeżącą ręce ku życiu i jego rozkoszom. Niektórzy widzą w niej nawet jedną z owych *grandes amoureuses*, istot stworzonych do miłości, promieniujących miłością i stawiających ją ponad wszystkim.

Linklater odbiega daleko od tego konwencjonalnego obrazu. Sądzi on, że dla Marii wszystkim były cele polityczne (ściślej związane w owym okresie historii z religijnymi). Z tego punktu widzenia miała ona rozstrzygać wszelkie sprawy. Jej miłość miała charakter raczej platoniczny, niż zmysłowy. Temperamentu brakło królowej. I Linklater stara się poglądy swój udowodnić. Marię zdradzał Darnley w kilka miesięcy. Bothwell w kilka dni po ślubie. Wyrok na Chastelard'a i podobnie na młodego lorda Huntly, który wraz z ojcem podniósł zbrojny rokosz przeciw królowej — był aktem ściśle politycznym. W morderstwie Darnley'a Maria nie miała udziału, ani nie wiedziała o niem, choć rada byłaby pozbyć się w drodze rozvodu męża, do którego nabrała wstępu. Dotąd możemy zgodzić się z autorem. Dalsze jego wywody bardzo subtelne zresztą i zreczne, nie przekonują. W stosunku Marii do Bothwella było coś więcej, niż przymus.

„KSIĘGA KRÓLOWEJ” HEWLETTA

Tu trzeba nad zawodową biegłością historyków przyznać wyższość intuicji powieściopisarza. Scott, Schiller, Słowacki, Swinburne stworzyli dzieła pod względem artystycznym doskonalsze i sławniejsze. Lecz nigdzie nie spotkamy tak świetnie narysowanego charakteru Marii, tak świetnie wyjaśnionych psychologicznie wszystkich wypadków okresu jej życia od przybycia do Szkocji do wywiezienia do Lochleven, jak w niedocenionej „Księdze królowej” Malarzycego Hewletta.

Bo teoria Linklatera to wielkie uproszczenie. Maria była istotą bardziej skomplikowaną. Miała i rozum polityczny, i chęć jak najlepszego spełnienia obowiązków królewskich, i dumę monarszą, i zapal religijny — i pragnienie osobistego szczęścia. Długo wychodziła zwycięsko z wszelkich trudności i z wszelkich zasadzek, jakie jej gotowali agenci Elżbiety, fanatyci kalwińscy, chciwi i ambitni wielmoże, przede wszystkim zaś najprzewrotniejszy i najchytřejszy z nich, brat przyrodny, Murray. Umiała też panować nad swoimi uczuciami i nakazywać szacunek tym, którzy ją kochali lub jej pożądati — niedarmo zaś u Hewletta Knox nazywa ją po pierwszej rozmowie „garbkiem miodu”. Aż przyszło na Marię sama miłosne szaleństwo. Potężne uczucie do Bothwella odebrało jej zdrowy rozum i poczucie godności. Tem tragiczniejszą to było rzeczą, że królowa pokochała nie kogoś z tych, którzy ją kochali, lecz cynicznego łotra, który pragnął użyć jej za narzędzie do własnego wyniesienia.

Dotyczące ustępy powieści Hewletta mają w sobie coś z greckiej tragedii przeznaczenia. Maria wie, że pędzi ku przepaści, wie, że wybraniec nie jest jej godzien, ale uczucie silniejsze jest od wszelkich ostrzeżeń rozumu — i spełnia się los fatalny.

Nie sądzę, aby istniało lepsze wytłumaczenie psychologiczne dzieł Marii Stuart.

Władysław Tarnawski

Oppidum Schonbergh

czyli historia nieistniejącego miasta

„MIASTKO“ SZYMBARK

Na wschodnim stoku prześlicznej doliny Ropy, zamkniętej lesistymi garbami wzgórz karpaccich, leży niewielka wioska Szymbark. Nie jest to jednak zwyczajna wioska, jakich tysiące rozsypałych jest w granicach Rzeczypospolitej. Według miejscowej tradycji miał być Szymbark dawniej miastem, niewielkiem wprawdzie, ale zawsze wybijającym się ponad otaczające go osiedla.

Jako pamiątka dawnej świetniejszej przeszłości pozostała do dziś nazwa „Miaśtko“, którą określają kilka bardziej skupionych domostw na zachód od szymbarskiego kościoła.

Szymbark ma być osadą bardzo starą, istniejącą już w XII wieku, nazywał się podobno wtedy Krasna Góra i pod tą nazwą należałoby szukać go w najstarszych dokumentach diecezji krakowskiej, do której podówczas należał.

DZIEDZICE SZYMBARKU

Początkowo stanowił Szymbark własność królewską, jak zresztą wszystkie obszary leżące wśród nieprzebranych puszcz karpaccich. Dopiero w połowie wieku XIV przeszedł w ręce rodziny Gładyszów herbu Gryf i na przeciąg trzech wieków stał się ich rodową siedzibą.

Pierwszym z tej rodziny, o którym spotykamy wzmianki w starych aktach i herbarzach, jest występujący około r. 1330 Jakób syn Gładyszów podręczny¹⁾ sandecki, który jednak mało pozostawił po sobie śladów. Założycielem szymbarskiego gniazda Gładyszów, był syn wspomnianego Jakóba, Jan Gładysz, piszący się z Brzezia (de Brzeszcz)²⁾, który w r. 1368 dzierżył po ojcu urząd podręcznego sandeckiego.

Sprytny i energiczny odstąpił w r. 1368 królowi swą wieś rodową (Brzezie) w zamian za dziedziczne bachmistrzostwo żup bocheńskich³⁾, gdzie szybko dorobił się majątku i w sposób bliżej nieznany wszedł w posiadanie olbrzymich (choć pustych) obszarów po obu stronach górnej Ropy i Zdyni, gdzie z czasem powstał bogaty i ludny klucz szymbarski.

Pewne światło na sposób nabycia dóbr szymbarskich rzuca proces, o którym będę pisał poniżej. Wynikałoby z niego, że Szymbark był najprawdopodobniej zastawem królewskim, który sobie Gładyszowie z czasem przywłaszczyli.

Po śmierci Jana Gładysza klucz zostaje podzielony między dwu spadkobierców, jeden z nich Piotr pisze się nadal „de Schimbark“, on to prawdopodobnie odbierał w r. 1412 od Węgrów Spiz imieniem Jagiełły⁴⁾, a w r. 1414 bakałarzył na uniwersytecie krakowskim⁵⁾, drugi zaś Mikołaj, któremu w podziale przypadła południowa część włości. Pisał się „de Łosie“.

Mikołaj był w r. 1419 bohaterem osobliwego procesu: własna córka Katarzyna oskarżyła go przed królewskim trybunałem, że nie jest szlachcicem, lecz bezprawnie za takiego się podaje⁶⁾. — Przed sądem przedstawił Mikołaj wymagane dowody i opisał swój herb zwany „Tobandze“, w którym jest pół gryfa czarnego z ogonem ryby, jestotna.

Trybunał, w skład którego wchodził Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski, Dobek Woinicki, Piotr Szafraniec, podskarbi krakowski i Stanisław Gamrat, orzekł, że Katarzyna niesłusznie przysięgnęła ojcu swemu brak szlachectwa, gdyż „tenże Mikołaj Gładysz jest równie doświadczonej, jak którykolwiek z dobrych rycerzy w obecnym czasie“.

Widzieliśmy poprzednio, że już w dru-

giem pokoleniu klucz rozpada się na dwie części, które z czasem w drodze podziałów rozdrabniać się będą dalej.

W r. 1473 należy Szymbark do Paszki Gładysza zapewne syna owego bakałarza, w tymże roku sprzedaje on Wielopolskim za 1000 grzywien bachmistrzostwo bocheńskie, na którym dziad jego dorobił się fortuny⁷⁾.

W r. 1581 według wykazów poborowych podatku łanowego, włości klucza szymbarskiego są już bardzo okrojone. Szymbark należy do Szymona Gładysza pisarza grodzkiego spiski-go, który był równocześnie właścicielem Polnej i Szymonowic w Sandecczyźnie, w tym samym czasie Konieczna i Ług należą do Piotra Gładysza, Smerekowice do Sebastjana, w ręku Gładyszów jest również wieś Ujście (dziś Ujście Ruskie), część klucza przeszła już w ręce obce, wsie Ropa, Hańczowa, Wysowa, Ropki, Blechnarka należą do Adama Brzezińskiego, Łosie, Bielanka, Klimkówka do Branickich⁸⁾.

Ostatnimi Gładyszami w Szymbarku a zapewne i w całym kluczu, byli Parweł (syn Szymona), do którego Szymbark należał w r. 1590⁹⁾ i Piotr, którego testament znajdujemy w księdze gromadzkiej wsi Siary (pow. gorlicki). Sporządzony on jest w r. 1611, Piotr zapisuje w nim Wojciechowi Kwiatowskiemu karczmę w Siarach ze sadami i łąkami aż po rzekę Gorlicę¹⁰⁾.

Od tego czasu nie spotykamy już więcej nazwiska Gładyszów piszących się de Szimbark przeniesli się z ziemi bieckiej w Sandomierskie, a na ich miejsce przyszli w XVII wieku Strońscy, później Siedleccy, Bronikowscy, wreszcie z końcem XVIII wieku nabył Szymbark ks. J. Bochniewicz prałat gnieźnieński¹¹⁾, który w r. 1808 przekazał go testamentem jako wspólną własność swym siostrą i siostrzenicami.

Wtedy to na obszarze Szymbarku powstały cztery dworki, jeden z nich rozparcelowany przeszedł już w obce ręce, trzy pozostałe do dnia dzisiejszego należą do spadkobierców ks. Bochniewicza.

DZIEJE „MIASTA“ SZYMBARKU

Gdy Jan Gładysz wszedł w posiadanie ziem leżących nad Zdynią i Ropą, były tam puszczę bezludną, przedstawiającą jedynie wartość terenów myśliwskich.

Prócz Krasnej Góry, a noże i wsi Ropy, nie było tam ani jednej osady ludzkiej, dopiero w kilkadziesiąt lat później pojawiły się w górach licho sklecone szałas pasterszy wołoskich, których Gładyszowie osiedlali na stałe wśród górskich kotlinek. Gładyszom zawdzięcza swe istnienie większość osad, które na tym obszarze istnieją. Pamiątka tej akcji kolonizacyjnej jest istniejąca do dziś wieś „Gładyszów“, wywodząca swą nazwę od szymbarskich dziedziców.

Dużo energii włożyli Gładysze w to, by założyć w swych dobrach miasto, które miało być niewyczerpanym źródłem dochodów i dodawać blasku magnackiej fortunie. Ażeby zachęcić cudzoziemców do osiedlania się w nowo założonym mieście zmienili starą nazwę Krasna Góra na Schönberg (w aktach Schonenbergh, Schimbork i t. p.) podstęp widać udał się w zupełności, bo jeszcze dziś zachowały się w Szymbarku nazwiska niemieckie (Henzel, Preisner i t. p.), które są pozostałościami dawnej niemieckiej kolonizacji.

Początkowo rozwijał się Szymbark dosyć pomyślnie, powstało małe miasteczko (jak tego dowodzi chociażby tradycyjna nazwa Miaśtko), z czasem jednak podupadł, prawdopodobnie pod-

cięty ekonomicznie przez Gorlice, które założone z końcem XIV w. zaczęły się świetnie rozwijać nie bez szkody dla okolicznych miasteczek.

Zubożali mieszczenie zapomnieli o swych dawnych przywilejach, schłopieeli, a miasto zamieniło się zpowrotem w wieś. Jedynie dziedzice pielęgnują dawne wspomnienia, poprzedzając (jeszcze w XVIII w.) nazwę Szymbark przydomkiem „oppidum“.

Wypadki powolnej przemiany miasta w wieś zdarzały się dawniej dosyć często.

Dziwnem jest, że Szymbark nieczem nie zaznaczył swego miejskiego charakteru, niema ani jednego dokumentu, któryby mówił o targach lub jarmarkach w tem „mieście“, o prawie składu, cechach, samorządzie miejskim.

Najdokładniejszy obraz rozwoju Szymbarku daje nam wspomniany już wykaz podatkowy z r. 1581, z którego wynika, że było tam wówczas łąnów kmiecych 3 i pół, zagrodników bez roli 2, komorników z bydłem 1, komorników bez bydła 1, rzemieślników 2.

Szczególnie ta ostatnia pozycja maluje skrajny upadek niedawnego miasta.

W XVI wieku w okresie t. zw. rewindykacji był klucz szymbarski przedmiotem ciekawego procesu, który rzuca światło na niezbyt uczciwy sposób nabycia fortuny przez Gładyszów.

Jak wiemy, kilka wsi z klucza szymbarskiego należało wówczas do Branickich (Bielanka, Łosie, Klimkówka, Umievisz)¹²⁾. Tym właśnie Branickim wytoczył w r. 1528 proces, Marcin Myszkowski, kasztelan wieluński, zarzucając, że wyżej wymienione wioski Branickich, jak i Ropa, Ujście, Hańczowa, Wiszowa, Blechnarka, Kwiatów, Smerekowice, Zdynia i Zawada, będące od pradziadów w posiadaniu Gładyszów, są zastawione i bezprawnie przywłaszczonemi królewskimi.

W odpowiedzi na zarzut pozwani wykazali się dokumentem wystawionym w Sączu przez Kazimierza Wielkiego dnia 27 października 1359 roku, w którym król nadał Janowi Gładyszowi podręcznemu sandeckiemu lasy nad Małą i Wielką Zdynią i innemi dopływami Ropy z prawem lokowania wsi i miast i nadawania im nazw. Komisja królewska stwierdziła, że wszystkie wymienione miejscowości mieszczą się na obszarze nadanym¹³⁾.

W ten sposób Branicki i Gładyszowie ostali się przy swych majątkach, ale komisja została wprowadzona w błąd, gdyż dokument królewski nauka dzisiejsza uznaje za niewątpliwą falsyfikat. Nie mniej wątpliwej wartości jest drugi dokument, dan na zamku miasta Szymbarku w samą wileń Bożego Narodzenia roku pańskiego 1359¹⁴⁾ przez Jana Gładysza, w którym zezwala on:

„na wystawienie kościoła w Szymbarku i założenie plebanji w obrebie między osadników naszych“, nadaje probostwu pole i ogród, oraz określa dani, jakie będzie składał na kościół dwór i włościanie¹⁴⁾.

ZABYTKI SZYMBARKU

Pamiątka z czasów ostatnich Gładyszów jest wspaniały pałac, „zamek“, jak go miejscowa ludność nazywa, pochodzący z XVI w. Imponujące mury wzniesione z szarego piaskowca karpacciego, do dziś walczą zwycięsko z zębem czasu.

W ciągu wieków przechodził budynek liczne przeróbki. Początkowo był to dość skromny dwór piętrowy, w XVII wieku dodano murowaną attykę, a w następnym, gdy wytrzymałość starych murów była już niepewna, przymurowano ukośne szkarpy, podtrzymujące ściany.

Pałac na czterech narożnikach ma czworoboczne wystające baszty z marmurami pokojkami na piętrze. Według podania jeden z dziedziców Szymbarku miał cztery córki, z których każda mieszkała w innym narożniku.

Mimo to, że zamek nie był nigdy w ścisłym tego słowa znaczeniu obronny, widać wyraźnie ślady mostku zwodzonego w kamiennej oprawie bramy wejściowej i fosy, nakrytej dziś płytami piaskowca, były to widać urządzenia „na wszelki wypadek“.

Pałac szymbarski jeszcze za czasów Ks. Bochniewicza, był w całości zamieszkały; obecnie strumienie wody, ciekące przez dziury w dachu, mrozy i wiatry zrobiły już swoje tak, że jedynie na parterze w dawnej kuchni mieści się do dziś używana izba czeladna, na piętrach zaś ostały się tylko resztki malowideł na ścianach i splekane okapy ozdobnych kominków.

Ciekawem jest, że Szymbark, który jako parafia istnieje już w XV wieku, nie posiada zabytkowego kościoła. Stary, zapewne drewniany, musiał zważyć się lub spalić z początkiem XVIII w., a na jego miejscu powstał dzisiejszy, zbudowany z drzewa w stylu niemieckiego renesansu, konsekrowany około r. 1775.

Zabytkiem późniejszym, bo z epoki trąbki pocztowej i dyliżansu, jest sędziwa karczma, stojąca przy drodze na południowych krańcach wioski.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty, gdy były „lepsze czasy“, a dwory miały prawo propinacji, każdy z czterech dworów szymbarskich miał po dwie karczmy, czyli, że było ich osiem na sześciu kilometrach gościńca.

Dziś zachowało się ich tylko dwie, przyczem jedna z nich jest cennym zabytkiem, przedstawiającym nam obraz dawnych zajazdów.

Stoi ona bokiem do gościńca, zbudowana z płaskich kamieni piaskowca, ze skośnymi przyczółkami po rogach. — W środku przedzielona szeroką wjazdową sienią, która zamienia się w długą wozownię, tak, że całość w planie przypomina literę „T“. W jednym ze skrzydeł budynku na lewo od wozowni jest część mieszkalna, tu znajduje się izba karczemna z ogromnym piecem, alkie-rze dla gości i stancjka arendarza. — Przeciwnie skrzydło zajmują obszerne stajnie.

SZYMBARK W PODANIACH

Urok starych murów działa na wyobraźnię ludu i dlatego bywają do nich przywiązane rozliczne podania; ma również swoje podania i pałac szymbarski.

W jednej z komnat zamkowych ma być podobno krwawa plama na murze, której ani zmyć, ani wyskrobać nie można.

W tem miejscu „pani zabiła pana“ powracającego z wojny „za Jerozolimę“, ciało jego zakopała w ogrodzie i posiała rutę na grobie.

Lud śpiewa o tem długą piosenkę zachynającą się od słów:

„Stała się rzecz niesłychana,
Pani zabiła pana“.

Jest to ten sam watek ludowy, który Mickiewicz zużył w baladzie pt. „Lilje“.

Pod zamkiem, według opowieści ludowych, jest cała platanina lochów i przejść podziemnych, które mają wieść do pobliskich lasów. Drugim miejscem działającym podniecająco na fantazję ludu, jest kapliczka z Chrystusem „frasobliwym“, stojąca samotnie na rozległej równinie zwanej Blich. Prawdopodobnie kapliczka ta stała niegdyś przy drodze biegnącej dawniej wzdłuż rzeki, ale dziś pamięć o tem zatarła się i geneza budowy tłumaczy się w inny sposób.

Miał niegdyś stać na Blich kościół pod wezwaniem Św. Krzyża, który z bliżej nieznanych powodów zapadł się pod ziemię. Na pamiątkę tego zbudowano na miejscu kościoła kapliczkę. Niekiedy dziś jeszcze twierdzą, że w czasie rezyrakcji z pobliskiego wzgórza słychać dźwięk dzwonów z zapadłego kościoła.

ROMAN REINFUSS, Gorlice.

DAJ GROSZ NA L. O. P. P.

1) Herbarz Polski Boniecki t. VI str 91

2) W iZemle bieckiej

3) Kodaks dypl. M. polski

4) Herbarz Niesieckiego

5) Herbarz Bocheńskiego t. VI

6) Prawa polskiego pomniki Helcel -- t. II, poz. 1648, 1690, 1700

7) Boniecki Herbarz t. VI, str 91

8) Źródła dziejowe Pawiński Małopolska w XVI w

9) Boniecki Herbarz t. VI

10) Ulanowski Księgi sądowe wiejskie

11) Śreniawski Filip, Bieg w swych pamiątkach

12) Dziś nie istnieje

13) Bujak Fr. Materiały do hist. miasta Biecha

14) Morawski Szcz. Sądeczyzna t. I.

Ryby żyjące bez wody

Spoglądając na szczupaka, pstrąga, czy jakąkolwiek inną rybę rzeczną lub morską, oceniamy całą trafność popularnego powiedzenia: „czuję się jak ryba we wodzie”. Faktycznie bowiem cała budowa anatomiczna ryby, wydłużone ciało, pletwy, ogon, świadczą o znakomitem przystosowaniu się do życia w tym jej żywiole.

Ma to jednak i swoje złe strony. Znaną powszechnie jest rzecz, iż np. śledź zdycha prawie natychmiast po wyciągnięciu go z wody. Zdycha z uduszenia, skutkiem zaschnięcia lub zasklejenia się skrzel, zapomocą których oddycha we wodzie.

Gdyby wszystkie gatunki ryb były równie wrażliwe na działanie powietrza jak śledź, — nie mogłyby one żyć w strumieniach, rzekach i mniejszych zbiornikach wody, podlegających okresowo wyschnięciu, — co jest zjawiskiem powszednim w krajach tropikalnych. A przecież we wszystkich podobnych zbiornikach żyją stale pewne gatunki ryb.

Czem to wytłumaczyć? Oto istnieją pewne gatunki ryb, zdolne żyć nie tylko w swoim właściwym żywiole, — ale przejściowo również i na lądzie.

Klasycznym, najbardziej znanym przykładem w tym względzie są młodsze węgorze, które w czasie swej wędrówki w górę rzek niejednokrotnie wydostają się na brzeg i zdołają do odległych jezior lub stawów. Mogą sobie pozwolić na podobne eskapady dzięki temu, że skrzel ich zatrzymują przez dłuższy czas pewną ilość wody, a więc utrzymują się w stanie wilgoci, umożliwiając im oddychanie.

Znacznie lepiej pod tym względem wyposażona jest przez naturę ryba — skoczek, zwana *Periophthalmus Koelreuteri*, żyjąca na zachodnim wybrzeżu Afryki.

Ryba ta, długości 5—8 ctm., potrafi dowolnie zmieniać barwę, podobnie jak kameleon, przystosowując ją do otoczenia. Wygląda dość niesamowicie: brudna, srebrno nakrapiana, pletwy błękitne, duże wylupiające oczy o czerwonym zabarwieniu. Co więcej, pletwy przednie, rozwinięte silnie, przypominają raczej nogi i mogą służyć do poruszania się na lądzie, chodzenia, skoków, a nawet wspinania się.

Pletwy te przystosowane są też do oddychania na lądzie, tak, że nierzadko ujrzyć można te osobliwe ryby, wylęgające się na wilgotnym piasku lub niezgrabnie skaczące w pogoni za zdobyczą.

Znakomicie przystosowaną do takiego „podwójnego życia” jest żyjąca w stawach i rzekach Australii ryba zwana przez krajowców „barramunda” (*Ceratodus Forsteri*), dochodząca do 2 mtr. długości. W okresie periodycznej posuchy ryba ta, zagrzebana w mule, zdoła żyć przez kilka miesięcy nawet bez wody. Funkcje oddychania spełnia u niej wówczas ów „pecherz”, stanowiący normalnie rodzaj balonu, z pomocą którego ryba (kurcząc go lub rozszerzając) utrzymuje się we wodzie w dowolnej głębokości. Pecherz ten zastępuje rybce w zupełności płuca.

Potężnie zaś rozwinięte pletwy przednie i tylne umożliwiają rybce pełzanie po stałym lądzie.

To samo obserwować możemy wreszcie u żyjącej w Indjach ryby „Anabas scandens”, u której oddychanie zapomocą skrzel samych absolutnie nie wystarcza do utrzymania się przy życiu. Musi ona co pewien czas podpły-

nać na powierzchnię wody, celem ziczerpnięcia powietrza, — a jeśli jej to uniemożliwimy (zakładając np. w akwarjum siatkę na kilka ctm. pod powierzchnią wody), — ryba poprosi

zdycha. Jedyny to chyba wypadek, iż ryba „tonie” we... wodzie!

Ryby te, jak udowodniły obserwacje często wychodzą same z wody i odbywają długie, nawet parodniowe wę-

drówki.

Kilka tych przykładów dowodzi, jak przedziwnie postarała się natura o zaopatrzenie pewnych odmian ryb do życia na lądzie w zmienionych warunkach bytu. Nie każda zatem ryba czuje się we wodzie jak w swoim żywiole.

(R.)

Stulecie Melbourne

Równo sto lat temu zawartą została jedyna w swoim rodzaju transakcja handlowa:

Na południowym wybrzeżu Australii wylądował niejaki John Batman, awanturiczny żeglarz z Tasmanji, i zawarł z dzikimi krajowcami umowę, mocą której w zamian za parę tuzinów kociów i kilkadziesiąt noży i tomahawków stał się właścicielem dziewiczych terenów o powierzchni trzystu tysięcy akrów.

Operetkową tę transakcję uznał wkrótce rząd angielski za zupełnie legalną i obowiązującą. Przystąpiono do wykarczowania terenów położonych po obu brzegach rzeki Yarra — i w ten sposób powstało Melbourne, dzisiaj miasto, liczące ponad milion mieszkańców, stolica angielskiej kolonii Victoria, wchodzącej obecnie w skład potężnego dominium „Commonwealth of Australia”.

Historja powstania i wzrostu tej metropolii brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Nie tak to dawne czasy jeszcze, gdy do Australii ciągnęły gromady awanturników, poszukiwaczy złota, by w ciągu paru miesięcy zdobyć olbrzymi majątek lub zginąć z wyczerpania, głodu i pragnienia. Melbourne ówczesne

było raczej nędzną osadą, posiadającą tylko prymitywne gospody czy szynki, zwane popularnie „pub”, w których nowoczesni Argonauci sprzedawali zdobyte w krwawym trudzie i wysiłku złoto.

Przyszły na Melbourne czasy „prosperity”. Miasto rosło z każdym rokiem, stając się ośrodkiem handlu złotem, a wkrótce i niemniej lukratywnego handlu wełną i skórą.

Jak grzyby po deszczu wyrastały wspaniałe gmachy, pałace, kościoły, teatry, muzea. Był czas, — z końcem zeszłego wieku, — gdy przyrost ludności wyrażał się cyfrą trzech tysięcy osób tygodniowo.

Był czas, gdy Melbourne pretendowało do miana stolicy całej Australii. Ambitne te plany i fantazje rozwinęły się w zetknięciu z twardą rzeczywistością: kryzys światowy wpłynął ujemnie na dalszy, zbyt szybki i gorączkowy rozwój miasta, — nazywanego „Rzymem Australii” ze względu na jego malownicze położenie na siedmiu wzgórzach.

Nową stolicę poczęto budować w roku 1927, dnia 9 maja tegoż roku położono kamień węgielny pod budowę stolicy, Canberra, — co jednak wkrótce okazało się pomysłem zupełnie niefortunnym.

Dziś Melbourne zrezygnowało ze

swoich wygórowanych aspiracji, wracając do swej właściwej roli wielkiej metropolii wiktoriańskiej. Rozwija się nadal w normalnym tempie „spoglądając z usprawiedliwioną ufnością w przyszłość”.

Setną rocznicę swego założenia, przypadającą na rok bieżący, postanowiło miasto uczcić w sposób wyjątkowo wspaniały. Na uroczystości, organizowane pod hasłem „Sto lat postępu”, ma przybyć jeden z członków angielskiego domu panującego. Zapowiedziane też jest przybycie słynnej orkiestry wojskowej Goldstream guards, ustrojonej w swe charakterystyczne olbrzymie czapki futrzane.

Dzisiejsze Melbourne wyglądem swym przypomina olbrzymie metropolie amerykańskie. Gmach parlamentu, pałac rządowy, imponujące drapacze chmur, uniwersytet, wspaniałe parki i ogrody, szerokie bulwary, po których sunie długi sznur wytwornych samochodów, giełda pieniężna i towarowa, wreszcie gmachy licznych banków z całą armią urzędników, — wszystko to każe przybyszowi zapominać, że nie dalej jak sto lat temu było na tym miejscu jedno wielkie niegościnne pustkowienie, przedstawiające niemal groszową wartość...

(kr.)

Wiszące ogrody Inkasów

Utarła się już w świecie legenda o owym „cudzie świata”, jakim miały być wiszące ogrody Semiramidy.

Mało komu natomiast wiadomem jest, że na zboczach południowo - amerykańskich Andów, na wysokości trzech do czterech tysięcy metrów istniały od wieków, a częściowo istnieją jeszcze do tychczas zupełnie analogiczne monumentalne urządzenia.

Najlepiej stosunkowo dochowane i najłatwiej dostępne są „wiszące ogrody” starej twierdzy Inkasów, Ollantaimbo. Wycięte tarasowato w twardej skale, zamknięte były u dołu potężnym murem z bloków skalnych; jedna jedyna brama wiodła do zaczerpniętego wnętrza.

Prawdziwym cudem ówczesnej techniki było założenie i urządzenie podob-

negu ogrodu. Już samo zwiezienie, obróbka i zmontowanie olbrzymich bloków skalnych użytych na ogrodzenie wymagało olbrzymiego wysiłku. Nie koniecznie jednak na tem: jak stwierdziły badania geologiczne, na tych wysokościach niema i nie było wogóle nigdy ziemi nadającej się pod uprawę. Musiano ją tedy przewozić względnie przenosić z odległych dolin (legenda mówi, że zwożono ją z Ekwadoru, oddalonego o 700 mil!).

A warstwa tej ziemi na poszczególnych tarasach posiada przeciętnie 1 metr grubości.

Niemniejszy podziw wywołują też urządzenia służące do sztucznego nawadniania tych wiszących ogrodów: całymi kilometrami ciągną się mniejsze i większe kanały, z których rozprawa dzano wodę na poszczególne terasy.

Szcześliwa mumja

Z Aleksandrii wysłano niedawno do Chicago na „Targi światowe” słynną „magiczną mumję”. W przeciwieństwie do mumij i przedmiotów z grobu Tutankhamena ma ona przynosić ludziom szczęście.

Jest to podobno ciało księżniczki egipskiej, zmarłej przed wielu tysiącami lat. Obecny właściciel, handlarz aleksandryjski, nie kupił mumji, lecz dostał ją za darmo od pewnej Angielki która opuszczała Egipt i uważała zabieranie zabytku na okręt za zbyt kłopotliwe.

Wyliczają cały szereg cudownych uzdrowień, które ludzie zawdzięczają magicznej mumji, a wielu żołnierzy angielskich przypisuje faktowi, że jej nie-

gdyś dotknęli, szczęśliwe przebycie wojny światowej.

Handlarz nie potraktował księżniczki ze zbyt wielkim pietyzmem. Uciał jej jedną rękę i sprzedał znanemu powieściopisarzowi Sir Arturowi Conan Doyle który pod koniec życia zajmował się spirytyzmem. Wystawiona w Muzeum Psychicznym w Westminsterze, ręka ścigała tłumy ciekawych. Dotykać jej nie było wolno.

Przechowuje się ją obecnie w żelaznej szkatułce i zaobserwowano dziwne zjawisko: Szkatułka jest zupełnie zimna, ręka nieco od niej cieplejsza. Żaden uczony nie zdołał wyjaśnić przyczyny.

Na długo przed odkryciem Ameryki uprawiali już Inkasi w tych ogrodach kartoile, orzechy ziemne, ananasy, pomidory oraz rozmaite gatunki zbóż.

Wykute opodal w bitych skałach obszernie spichrze służyły do przechowywania zbiorów.

Dziwnem mogłoby się wydawać, że Inkasi olbrzymim wysiłkiem budowali podobne wiszące ogrody na wysokości paru tysięcy metrów, — mając do dyspozycji w równinach dość ziemi żyznej, dającej się z łatwością uprawiać.

Uczeni są zdania, iż decydowały tu przede wszystkim względy strategiczne. Władcy Inkasów chcieli w ten sposób zapewnić sobie i ludzkości dostateczne zapasy żywności na wypadek jakichkolwiek zatargów zbrojnych ze sąsiadami. Ogrody te bowiem, do których wiodła jedna tylko brama, były wogóle trudno dostępne, a znajdowały się zawsze w sąsiedztwie twierdz.

Jak wysoko zaś stała u Inkasów kultura rolna, świadczy fakt, że w ogrodach tych na wysokości 400 metrów uprawiano z powodzeniem żyto.

Dzisiaj ogrody te znajdują się w stanie zupełnego zaniedbania — eksploatacja ich przedstawiałaby się zbyt niekorzystnie ze względu na trudne warunki dostępu. Tu i ówdzie tylko zobaczyć jeszcze można jakiegoś Indianina, uprawiającego w pocie czoła kawałek ziemi, — tej ziemi, którą jego przodkowie przed setkami lat przenieśli z dalekich równin na niegościnne, skalne zbocza.

(kr.)

Rak księżycowy

Prasa codzienna porusza obecnie często sprawę reformy kalendarza i omawia projekt wprowadzenia roku o 13 miesiącach. Liga Narodów zamierza w 1935 roku obradować nad tą sprawą i jeśli 60 proc. państw głosować będzie za reformą kalendarza, zniknie chrześcijański rok słoneczny a zapanuje rok księżycowy.

Większość ludzi, czytających o tem wzmianki w prasie, sądzi, że tak nowy kalendarz byłby czymś nowym, dotychczas zupełnie nieznanym i niepraktykowanym. Tymczasem tak nie jest. W bardzo zamierzczliwych czasach bowiem liczono czas według zmian księżyca a również w obecnych czasach mierzą w ten sposób czas niektóre ludy i plemiona.

Rok o 13 miesiącach jest bowiem rokiem księżycowym, w czasie którego księżyc odmienia się 13 razy, rozpoczynając każdy miesiąc z dniem nowiu.

Na taki sposób mierzenia czasu wpłynął starodawny kult księżyca. Liczne starożytne ludy, zwłaszcza azjatyckie uprawiały ten kult bardzo długo. Pojawienie się nowego księżyca należało do chwil bardzo uroczystych. W żydowskich, starych pismach czytamy wiele wzmianek, o tem, jak to oznaczano i ogłaszano dzień i czas nowiu. Chwilę pojawienia się nowego księżyca oznajmiano ludowi z góry oliwnej ogniwami sygnałami, a prowincję zawiadamiano o tem przez gońców. Spostrzeżeniami i badaniem tej chwili zajmował się syn hedrjon, który stwierdzał każdorazowo przez specjalnych ludzi, w jakiej postaci i w jakich warunkach księżyc okazał się w dniu nowiu. Uroczysty ten dzień powtarzał się co 28 dni.

Z czasem te uroczystości nowiu połączone z różnymi ceremoniami. Gdy blask wschodzącego księżyca wskazywał chwilę nowiu, kapłani ogłaszali ludowi z wieży srebrnymi trąbami i na to hasło żydzi spieszyli do świątyni, gdzie składano ofiary. Dzień ten był dniem wesela i uczt. W tym dniu nie wolno było pościć, wygłaszać mów pogrzebowych, zawodzić pieśni żałobnych, wykonywać pewnych robót, obcinać paznokci i włosów, a każdy żyd musiał weselić się i ucztować.

Krytycy biblijni uznali to święto za bardzo stare i utrzymują, że powstało w czasach pasterskich. Pasterz — koźczownik żył nocą i uważał światło księżyca za przyjaciela, przewodnika i opiekuna, gdyż wyzwalało go od żaru słonecznego pustyni, umożliwiało podróż i dawało wytchnienie. Księżyc też powagą swą i grozą ciemności imponował ludom starożytności. Wówczas bowiem księżycowizgady były drogowskazem dla pasterza, światło księżycowe uważano za błogosławieństwo, a zaćmienie jako niedolę i smutek, wróżące koniec świata. Zjawiska zaćmienia budziły powszechny lęk, uchodziły za dowód niełaski bożka — księżyca i przepowiadały pomór, głód i wojny. Zaćmienie księżyca przerażało do tego stopnia wojska zbuntowane przeciwko Tyberjuszowi, że poddały się one bez walki.

Ten kult księżyca sprawił, że mierzone czas na nocę według zmian księżyca, który był wówczas najłatwiejszym miernikiem czasu, gdyż zmiany łatwo dostrzegano i powtarzały się one ze ścisłą regularnością.

Według księżyca mierzyli też czas

Babilończycy, Asyryjczycy, Egipcjanie, Grecy, Hindusi, ludy afrykańskie i azjatyckie, Indianie amerykańscy, w Europie Litwini, Jadźwingowie, Skandynawczycy, Eskimosi i żydzi. W sławnej Eddzie skandynawskiej księżyc nazywa się „artali“ t. j. miernik czasu, a w języku Basków zwie się „argi - izari“ t. j. światłomierz. W mahometańskim koranie czytamy o księżycu Ałłacha: „On dał blask księżycowi, on jego zmiany urządził i on służy do podziału czasu i do lat rachunku“. Nawet ludy słowiańskie, zwłaszcza na wschodzie zowią księżyc, pod wpływem Azji, miesiącem.

Rok księżycowy utrzymał się najdłużej u ludów mało kulturalnych i zabobonnych. U Buriatów miesiąc odpowiada czasowi biegu księżyca, now jest u nich dniem świątecznym i rozpoczyna nowy miesiąc. To samo widzimy u Tungusów, a u Eskimosów miesiąc zwie się „taktuk“, które to słowo oznacza księżyc. Również Mongołowie, Kałmury, Tybetanie, Indianie amerykańscy, Beduini, murzyni w Afryce i mieszkańcy wysp Oceanu Spokojnego liczą obecnie czas według księżyca.

W starożytnym mieście Ur czczono księżyc pod nazwą „Nannar“, co oznacza „jedyny“, który tworzy światło“. Babilończycy zwali księżyc „Sin“, które to słowo powtarza się często w imionach królów babilońskich. W Azji zachodniej istniał w starożytności lud rasy Turańskiej zwany „Akkado - Samirów“, który uprawiał szczególnie kult księżyca i gdy popadł w niewolę Chaldejczyków i Asyryjczyków wywarł wielki wpływ na kulturę zwycięzców.

W Zenda - Weście przedstawia się księżyc jako głównego bożka; jest to bożek szczodry i władca chmur, źródło dobrodziejstw, wiedzy i bogactw, dzięki któremu mnożą się trzody, a człowiek ma powodzenie. Hindusi mówią, że bożek - księżyc brał udział w stworzeniu świata i użycza ludziom długiego życia i szczęścia.

Murzyni afrykańscy witają zawsze pierwsze promienie księżyca radośnymi okrzykami i wielkim głosem modlą się do niego. Murzyni w Kongo wierzą, że księżyc umiera i zmartwychwstaje. Ho-

tenci, hodowcy bydła, święcą now i pełnię księżyca tańcami.

Kult ten księżyca istniał również u starożytnych Germanów. Jeszcze w początkach średnich wieków skarży się duchowieństwo, że lud germański kłania się swemu Herr Mon, a Szwajcarowie zwa go Herr Man.

Jedynie u narodów słowiańskich nad Wisłą, Odrą i Łabą istniał od wieków kult słońca, każde domostwo ozdabiano kręgiem słonecznym i wierzone, że bogini Żiwa - słońce stwarza życie na ziemi.

Najwięcej jednak śladów kultu księżyca znajdujemy nawet obecnie w zwyczajach i wierzeniach żydów. Od wieków żydzi mierzą czas według księżyca i w księgach ich często spotyka się z utożsamianiem księżyca z miesiącem. Hebrajska nazwa księżyca „jerach“ oznacza także miesiąc w znaczeniu podziału roku. Słowo „jerach“ znaczy „wędrujący“ i jest jedną z najstarszych nazw księżyca. Iensen w swej „Kosmologie der Babilonier“ twierdzi, że słowo to pochodzi od babilońsko - asyryjskiego wyrazu „arah“, który oznaczał miesiąc; jako miernik czasu, co dowodzi, że żydzi posiadali swój żargon w Babilonii. Karaici także w dzisiejszych czasach dzielą rok według biegu księżyca.

Żydzi mierzyli zawsze czas według biegu księżyca i mają też własne zdanie o tej planecie. Talmud opowiada, że księżyc posiada własne światło a mniejszy jest od słońca, gdyż spotkała go kara za grzechy. Potem przytacza taką legendę:

Gdy Bóg stworzył dwa wielkie światła: słońce i księżyc, zazdrosny księżyc zapytał: „Panie świata, czy mogą dwaj królowie posługiwać się jedną koroną“. Rozgniewany Bóg rzekł: „Stań się mniejszym!“. Legendę tę tłumaczą w ten sposób. Jak długo żydzi prowadzili koźczownicze życie, księżyc był dla nich bóstwem dominującym. Z chwilą jednak, gdy stali się ludem osiadłym, rola księżyca zmniejszyła się, a słońce wybiło się na pierwszy plan.

Jednak lud żydowski wierzy dzisiaj nawet, iż przyjdzie czas, kiedy księżyc,

czczony przez ich ojców, odzyska swie wielkie światło i panowanie i modli się „przyjdzie czas kiedy Wiekuisty opatrzy uszkodzenia ludu“. Dlatego żydzi wierzą w samodzielne światło księżyca, twierdzą, że promienie jego wpływają na życie żydów, a najdobroczynniej działają w Jerozolimie, nad którą księżyc obrał swe siedlisko. Zabobonny ten lud uczy, że księżyc obraża się, gdy się na wskazuje palcem „bo ci go obetną, albo sam odpadnie“.

Kult księżyca stał się podstawą żydowskiej mitologii. Astarte, bogini nieba, była przedewszystkiem boginią księżyca, której kult przeszedł do Aten, gdzie na cześć Artemidy wypiekano placki w kształcie księżyca. Ten kult dał początek amuletom w kształcie półksiężyca, które noszą niewiasty żydowskie i zwia je „saharonim“. Stara też nazwa Boga u żydów „Jahwe“ oznacza księżyc, a góra Sinai, nazwana z babilońska, oznacza górę Księżycową.

Żydzi dzisiejsi świecą nawet obecnie pierwszy dzień nowiu i odmawiają w tym dniu różne modlitwy w formie błogosławieństwa. W tym dniu proszą Boga przedewszystkiem, by wrócił dawną wielkość światłu księżycowemu. Ta modlitwa przedstawia księżyc, jako symbol nadziei Izraela, która spoczywa w ciągłym odnawianiu się księżyca. Kalendarz żydowski podaje też zawsze dzień, godzinę i minutę pojawiania się odmłodzonego księżyca nad Jerozolimą, a w sobotę kantor podaje dzień, na który przypada początek nowiu.

Żydzi wierzą, że kto przywitał godnie nowy miesiąc, będzie miał szczęście, i będzie mu darowany jeszcze jeden miesiąc życia nawet gdyby miał wcześniej umrzeć. Czes ten bowiem przynosi szczęście. Jeśli księżyc zaczyna świecić w pierwszym dniu miesiąca, to światło jego dosięga szczytu 15-tego dnia, tak jak 15 pokoleń Izraela, od Abrahama począwszy, dostąpiło szczytu chwały za króla Salomona. W drugiej zaś połowie miesiąca księżyc gaśnie i tak samo Izrael pochylił się ku upadkowi. Nowy now zaś przynosi nowe nadzieje.

Dzisiaj ta, jak dawniej żyje wiara, że powrót młodej tarczy księżyca sprzyja wielkim przedsięwzięciom ludzkim i jest czasem pomyślności i szczęścia. Tak nowy księżyc gładzi nawet grzechy ludzkie, czyni każdy czyn skutecznym, każdą walkę zwycięską. Kto wie, czy nie tkwi w tej wierze, siła i wytrwałość Izraela.

Jeśli by naprawdę usunięto chrześcijański rok słoneczny i wprowadzono rok księżycowy, mierząc czas na nocę, a dzieląc rok na 13 miesięcy, — kultura nowoczesna musiałaby ulec wpływom takim samym, jakie stwierdzamy w Azji. To pewne, że taki zreformowany kalendarz przyniósłby pewnej stronie korzyść a pewnej szkodę tak moralną jak materialną. Należałoby poważnie zastanowić się nad tem, czy dobrze byłoby, gdyby noc zapanowała nad dniem a księżyc nad słońcem.

Inicjatorzy powyższej reformy uzasadniają swój projekt względami gospodarczymi, pragną stabilizacji świat, dążą do równomiernego podziału roku, a przecież poprawy bytu nie przyniesie żaden nowy teoretyczny podział czasu, który niczego korzystnego nie stworzy, tak jak wesela nie przyniosły Europie ani murzyńskie kompozycje muzyczne, ani tanga brazylijskie, ani gitary hawajskie.

Dr. Julian Skulski.

Krótkie wiadomości lekarskie

Transfuzja krwi ze zwłok

Lekarze sowieccy zajmują się w ostatnich czasach bardzo żywo kwestią transfuzji (przetaczania) krwi, — wychodząc z założenia, że zagadnienie to będzie miało pierwszorzędą wagę w przyszłych wojnach.

Jest zresztą cały szereg wypadków. (silne krwotoki żołądkowe, przecięcie tętnicy itp.), w których zaaplikowane w porę przetaczanie krwi decyduje wręcz o życiu pacjenta.

Dla ułatwienia proponują lekarze wprowadzenie pewnego rodzaju „paszportów“, w których zaznaczonem byłoby, do której grupy krew danego osobnika należy. Paszporty takie powinni posiadać przedewszystkiem ludzie, należący do armii stałej i do rezerwy.

Trzeba się jednak liczyć z tem, że w razie wybuchu wojny nie łatwo będzie uzyskać potrzebne ilości krwi od jej dawców. Przy dużem, masowem poproście zapotrzebowaniu prędko jej może zabraknąć.

Dlatego medycyna w Sowietach zainteresowała się poważnie kwestią

przetaczania ludzkiej krwi żywej krwi pobranej ze zwłok ludzkich. W tym kierunku robi się ustawicznie doświadczenia, które dały wyniki pozytywne. Krew ze zwłok udało się przechowywać w niezmiennym stanie przez tydzień. Zanotowano nawet wypadek, iż krew pobrano dopiero w 14 godzin po śmierci, i użyto jej z powodzeniem do transfuzji.

Samoloty w służbie leczniczej

W Sowietach podjęta została na wielką skalę akcja w kierunku zwalczania zimnicy, której zasadniczym założeniem jest energiczne tępienie komarów, jako roznosicieli zarazków tej choroby.

W tym celu eskadry samolotów rozpylają „zieleń paryską“ w okolicach bagnistych, niszcząc za pomocą tego środka zarodki komarów.

W roku bieżącym akcję tę przeprowadzono na obszarze ogólnym 20 tysięcy ha. z wynikiem doskonałym i ilość zachorowań na zimnicę w okolicach tych zmniejszyła się bardzo znacznie. (r.)

Klasyczny okaz despotyzmu eurazyjskiego

(w 350-lecie śmierci Iwana Groźnego)

Zachodnio - europejska, — w szczególności polska, — nauka historyczna, równie jak opinia publiczna, w monarchach rosyjskich — i to w tych, którzy żyli już w czasach nowożytnych, a nawet w epoce nowoczesnej — widzi typowe okazy orientального, azjatyckiego, barbarzyńskiego niemal samowładztwa i despotyzmu, robiące na tle dziejów Europy i jej kultury psychicznej i politycznej wrażenie niemal egzotyczne. A przecież i Aleksander I ze swym liberalizmem i mistycyzmem, i Mikołaj, „najbardziej pruski z cesarzy rosyjskich“ a nawet despotyczny i lubujący się w okrucieństwach wielki reformator — Piotr Pierwszy — są bądź co bądź Europejczykami, pod tym czy innym względem podobnymi do monarchów zachodnich: Burbonów, Hohenzollernów czy Habsburgów.

Klasycznym natomiast typem tego, co nazywamy azjatyckim autokratyzmem, wschodniością rosyjskiej kultury psychicznej i politycznej — klasycznym — jednym słowem — okazem caryzmu rosyjskiego był Iwan IV, znany pod przydomkiem Groźnego, pierwszy z władców moskiewskich, który oficjalnie tytułował się władcą Wszech Rosji, ściślej mówiąc — Wszech Rusi („Wsieja Rusi“).

W Iwanie Groźnym i jako w człowieku, i jako w władcy — w stopniu najsilniejszym występuje suma cech, stwarzających typ despotyzmu eurazyjskiego. Właśnie eurazyjskiego, — bo autokratyzmu moskiewskiego nie należy, a nawet nie wolno identyfikować z despotyzmem czysto orientalnym: despotyzmem szachów perskich, sułtanów tureckich, cesarzy chińskich, a przede wszystkim — władców mongolskich. Modny w ostatnich czasach termin „eurazyjski“, podkreślający odrębność Rosji zarówno od świata europejskiego, jak i orientального — azjatyckiego — najlepszym jest też określeniem istoty staro-rosyjskiego (moskiewskiego) systemu politycznego i typu psychicznego jego władców.

Ta eurazyjskość — w odniesieniu do istoty autokratyzmu carów, przede wszystkim cara Iwana Groźnego, — nie jest niczym innym, jak syntezą psychicznych i polityczno-ustrojowych pierwiastków mongolskich z bizantyńskimi. W carze Iwanie IV w stopniu najsilniejszym i w proporcji najdoskonalszej łączą się ze sobą: 1) nie uznający żadnych hamulców despotyzm, chytrych, okrucieństwo, podstępne i barbarzyńskie zarządzenie, — ale też i niewątpliwe zdolności wodza i organizatora — a więc to wszystko, co cechowało Wielkich Chanów mongolskich, — i 2) typowy cesaropapizm i hieratyczność bizantyńska, tak charakterystyczna dla cesarzy konstantynopolskich: wiara w religijne posłannictwo swej władzy, podejrzliwość i niepospolite talenty aktorskie i intryganckie, również typowe dla atmosfery mrocznych pałaców Bizancjum... pałaców, których wnętrza złotem ociekające i mozaiką przepyszne, gdyby umiały mówić — opowiadałyby o takich intrygach, tajemnicach i zbrodniach, które przesycone są dzieje wszystkich dynastii — macedońskiej i izauryskiej, Dukasów i Komnenów, Angelów i Paleologów, — a przy nich dziecinnie niemal niewinni i rycersko-szlachetnie wydają się krwawe dzieje królów gockich, Merowingów frankońskich czy

niezliczonych Borgiów, Orsinich, Colonnów, Medyceuszów czy Sforzów włoskiego późnego średniowiecza i Odrodzenia.

Chan mongolski i autokrata bizantyński wcieliły się w pochodzącego od wikingów normandzkiego władcę najliczniejszego ludu słowiańskiego. Co więcej, na długie wieki w pamięci tego ludu władca ów pozostał uosobieniem „ruskiego“ majestatu monarszego, — historia bowiem dobrze wie o tem, jaką czcią, szacunkiem i uznaniem (czytaj „trwogą i podziwem dla jego samowładztwa i okrucieństwa“), a nawet miłością otaczały imię Iwana Groźnego niezliczone masy rosyjskie i za jego życia, i długo po śmierci. Twierdzenie o niewolniczości, która jakoby ma tkwić w psychice rosyjskiej (ściślej mówiąc — w psychice ludu rosyjskiego) nigdy i nigdzie w historii i w tragedii nie znajduje lepszego i bardziej przekonującego uzasadnienia, niż ta apoteoza imienia i pamięci cara Iwana IV.

Iwan Groźny wstąpił na tron wprawdzie w okolicznościach, dla siebie mało sprzyjających, — w dziejach Rosji jednak była to epoka, w której państwo moskiewskie — Rosja przedpiotrowa znajdowała się na szczycie potęgi. Liczni poprzednicy na tronie władców moskiewskich i całe pokolenia poddanych przygotowywały polityczną i psychiczną atmosferę, w której Groźny mógł stać się tem, czem był.

Już w końcu XIII w. Iwan Kaleta, książę moskiewski, rozpoczął „zbieranie ziem rosyjskich“, — następcy jego kontynuowali rozpoczęte przezeń dzieło, a jednocześnie uniezależnili się od władztwa Tatarów, to w drodze sprytnej polityki, — to znów drogą zwycięstw (Dymitra Dońskiego — na Kulikowie Polu, 1380), aż dziad Groźnego Iwan III przy końcu XV wieku ostatecznie uwolnił państwo moskiewskie z pod jarzma mongolskiego.

Tenże Iwan III najsilniejszy zadał cios separatyzmowi dzielnicowemu, pozbawiając wolności i niepodległości potężną kupiecką rzeczpospolitą nowogrodzką, syn zaś jego Wasyl III przyłączył do państwa moskiewskiego ostatnie państewka dzielnicowe (z tych, które nie znalazły się pod panowaniem litewsko-polskim): Psków i Riazan.

Najstarszy jarmark angielski

Jarmarki nie są już tem, czem były za dawnych czasów. Obroty handlowe szukają nowoczesnych dróg, a rozkwit środków komunikacyjnych pozwala na transport towarów, który czyni zbędnymi zwożenia ich raz czy dwa razy do roku na jedno miejsce. Jednym słowem jarmarki chroni właściwie tylko tradycja. Przypominają one ludziom, że były czasy, w których one jedne stanowiły sposobność do zaopatrzenia się na czas dłuższy w potrzebne przedmioty, w inwentarz, często w służbę, i stanowiły urozmaicenie w szarem życiu wiejskiem. Stąd ich stosunkowo znaczna jeszcze popularność w Anglii, kraju najbardziej zapewne w Europie przywiązany do tradycji.

W średnich wiekach prawo urządzania jarmarków było cennym przywilejem, którego monarchowie udzielali tylko za pewne zasługi. To też miasteczka angielskie dumne są ze starości swych jarmarków i spierają się o nią między sobą. Zazwyczaj uważa się za najstarszy

Ponadto Iwan III i Wasyl dążyli do nadania swemu państwu cech mocarstwowości. Jako jedyny niepodległy, suwerenny władca prawosławny i mąż brataniwy ostatniego cesarza konstantynopolskiego, Konstantyna XI Paleologa, (po upadku Bizancjum pod ciosami Turków), a swe państwo — za „Trzeci Rzym“ (Pierwszy starożytny, drugi — Bizancjum, trzeci — Moskwa, „a czwartemu już nie bywało“ — a czwartego już nigdy nie ma być!), sprowadzał też uczonych — głównie duchownych, — i artystów greckich, a nawet włoskich, — wielki nacisk kładł na życie Cerkwi i unormowania jej stosunku do władzy państwowej w duchu pełnej zaufania zależności (typowy cesaropapizm!).

Wasyl III wszczął walki z Wielkim Księstwem Litewskim, zdobył Smoleńsk i — mimo klęski pod Orszą — zatrzymał go przy Moskwie.

Z tych wszystkich elementów psychicznych, kulturalno-religijnych i politycznych wyprowadza się klasyczna eurazyjskość Iwana Groźnego i jego rządów. Jest on najpełniejszym, najdoskonalszym uosobieniem tego, czem był i miał być „Trzeci Rzym“. Nie można Iwanowi IV odmówić szeregu wybitnych cech indywidualnych — są jednak one tylko spotęgowaniem i rozwiązaniem tego, co widzieliśmy już w jego poprzednikach, lub co tkwiło w nich, nieświadomiane sobie i niewyzyskane.

Koronacja na cara była zewnętrznym aktem, podkreślającym dążność Rurykowiczów moskiewskich do objęcia spadku po Bizancjum. Wydanie kodeksu praw nawiązywało do tradycji rzymsko-bizantyńskiej (Justynian) i staroruskiej (Jarosław Mądry).

Walka z możnowładztwem, prowadzona z niesłychanym okrucieństwem (ona to właśnie zyskała Iwanowi cześć i miłość mas prostego ludu), a zakończona zniszczeniem, ruiną lub nawet zagładą zupełną najpotężniejszych, najstarszych rodów bojarskich — czerpie swe źródło z tradycji zarówno mongolskich, jak bizantyńskich, — była bowiem środkiem jedynie do wzmocnienia władzy autokraty. Rozpusta zaś Iwana, jego przesadna czysto zewnętrzna nabożność, ciągłe komedie z porzucaniem tronu, przyjmowaniem ślubów zakonnych, — czyż nie tchnie to wszystko

typową atmosferą bizantyzmu, nie przypominając to różnych Leonów, Michałów, Aleksych i Izaaków, którzy zasiadali na tronie w Konstantynopolu?...

Podobieństwo zaś to potęguje jeszcze ukryta walka z tem, co w Cerkwi było najlepszego — walka, którą „pobożny car — mnich“ prowadził z duchowieństwem, piętnującym w imię ducha religii chrześcijańskiej jego okrucieństwa i rozpustę. Ofiarą tej walki padł rosyjski Tomasz Becket, Stanisław Szczepanowski czy ksiądz Baryczka — metropolita Filip, z rozkazu Iwana uduszony przez Malutę Skuratowa, głównego „opiecznika“ — t. j. dowódcę swoistej straży pretoriańskiej, którą Iwan IV się otoczył.

Właśnie ta straż pretoriańska — „opieczniki“, ich okrucieństwo i wierność, podejrzliwość, hipokryzja i mizantropia Iwana Groźnego, cara „Trzeciego Rzymu“ zbliżają go do cesarza Pierwszego Rzymu — Tyberjusza. Analogii między nimi można znaleźć bardzo dużo nawet czysto formalnych i bijących w oczy: zabójstwo carewiczki Iwana, a śmierć Druzusa Młodszego i Germanika, Maluta Skuratow a Sejan, samotność imperatora na Capri i rządzenie stamtąd cesarstwem, a periodyczne chronienie się Iwana do klasztoru i t. p.

Był jednak Iwan Groźny władcą szczęśliwym, a nawet potężnym i zgodnym z tradycją swych poprzedników niszczył resztki potęgi tatarskiej: podbił chanaty Karański i Astrachański (ten ostatni był stanowił resztkę pozostałego jeszcze dziedzictwa strasznej niegdyś Złotej Ordy), — kozacy zaś pod wodzą Jermaka zdobyli dla Moskwy bezkresne obszary Sybiru.

Kontynuując politykę Iwana III i Wasyla, dążył Groźny do osłabienia Litwy, a więc i Polski. Do tego dołączyła się ambicja „wybicia okna“ na Morze Bałtyckie, — brał więc Iwan wraz z Polską, Danią i Szwecją żywy udział w sprawach Zakonu Kawalerów Mieczowych, — czego następstwem były kilkakrotnie wznowiane walki z Polską o Inflanty.

Walki te, toczone za panowania w Polsce Zygmunta Augusta ze zmiennym szczęściem, za Batorego skończyły się klęską Moskwy i wycofaniem się Iwana z Inflant. W rokowaniach o pokój z Polską w najsilniejszym stopniu przejawiały się spryt i bizantyńsko-tatarska chytrych dyplomatyczna Iwana — znany powszechnie jest manewr jego w stosunku do Rzymu i pośrednictwa Passawina.

Typowy reprezentant starej, eurazyjskiej, chińskim murem oddzielonej od zachodu — Rusi, jest przecież Iwan w pewnym sensie poprzednikiem wielkiego genialnego reformatora i pierwszego w Rosji Europejczyka — Piotra. Świadczy o tem i jego ambicja w kierunku zdobycia dostępu do Bałtyku, i stosunki w jakie wchodził z krajami i narodami dalekiego europejskiego zachodu, przede wszystkim z Elżbietą angielską. Poza tem jednak nie łączy cara, który sztuce budowania okrętów więcej ceniał, niż całą swą majestat hieratyczny, i który całą „Rus świętą“ do góry nogami wyrócił, by uczynić z niej Europę, — a z namaszczonego, pełnym wiary w boskość swej władzy i świętości tradycji — eurazyjskim, prawosławnym Tyberjuszem „Trzeciego Rzymu“.

t. p.

Jak wygląda dziennikarstwo japońskie

Prasa japońska powstała stosunkowo bardzo niedawno: pierwszy dziennik „Mainiszi Szimbun“ zaczął wychodzić w Jokohamie w roku 1870.

Zarówno ten, jak i pojawiające się wkrótce potem inne dzienniki miały charakter wybitnie postępowy, pod hasłem cywilizacji Zachodu. Nie podobało się to stanowisko prasy ówczesnemu rządowi, który starał się zahamować jej rozwój drogą represyj. Zabroniono tedy zatrudniania w dziennikarstwie cudzoziemców (Amerykanów i Anglików), rozmaitemi szykanami starano się podkopać byt niemiłych rządowi dzienników, a od lipca 1877 poczęły spąsać się konfiskaty.

Dopiero rok 1887 przyniósł zasadniczą zmianę: ustawą z dnia 28 grudnia zagwarantowaną została wolność prasy, co następnie znalazło jeszcze wzmocnienie w konstytucji.

Od tej chwili prasa japońska poczyniła się rozwijać w gwałtownym tempie. Dzienniki zdecydowanie polityczne, początkowo bardzo rozpowszechnione, traciły jednak rychło na wpływie i znaczeniu, ustępując miejsca pismom apolitycznym, typu czysto informacyjnego. Pierwszym tego rodzaju dziennikiem był „Kokumin Szimbun“, założony w roku 1890, który wkrótce osiągnął nakład 50 tysięcy egzemplarzy.

Dziennik ten jednak stracił wkrótce swą popularność, kiedy przeszedł na służbę rządową. Po wojnie japońsko-rosyjskiej wzburzony tłum zdemolował zupełnie lokal tego dziennika, który wbrew opinii publicznej stanął zdecydowanie po stronie rządu.

W rezultacie rząd zmuszony był ogłosić stan oblężenia i zawiesić wydawnictwo kilku dzienników.

Dzienniki pro-rządowe straciły wszelkie znaczenie. Wytworzył się nowy typ wielkich dzienników, zajmujących politycznie zupełnie neutralne stanowisko, a wzorowanych na prasie amerykańskiej. Dzienniki zamieniły się w prawdziwe „magazyny“, o treści bardzo urozmaiconej. Sport, teatr, życie kulturalne i umysłowe, nowinki z dnia i sensacje, jak najwięcej sensacji, to treść dzisiejszego dziennika japońskiego.

Sensacje te fabrykuje się bez skrupułów, „byłe handel szedł“. Podaje się wiadomości wręcz fantastyczne nieraz, ale potrzebne w danej chwili dla urobienia opinii publicznej, zwłaszcza o ile idzie o sprawy zagranicznej polityki Japonii.

A informacji tych nigdy się nie prostuje. Ludzie znający tamtejsze stosunki utrzymują, że prasa japońska ma dwa oblicza: jedno dla zagranicy, drugie dla „wewnętrznego użytku“...

Prasa socjalistyczna w Japonii faktycznie nie istnieje, dzięki zdecydowanemu stanowisku rządu, który wszelkie próby jej powstania dusi z nieubłaganą energią.

Jak przedstawia się prasa japońska w obecnej chwili? Cały rynek opanowały właściwie dwa potężne koncerny prasowe, wzajemnie się zwalczające.

Jeden to koncern „Asahi“, posiadający dwa wielkie dzienniki „Osaka-Asahi“ o nakładzie 1 milion 300 tysięcy egzemplarzy, oraz „Tokio-Asahi“ o nakładzie 650 tysięcy egz.

Koncern ten zajmuje stanowisko zupełnie niezależne, nie korzysta z żadnych jawnych czy tajnych subwencji, a posiada kapitał zakładowy 6 milionów yenów. Większość akcji znajduje się w rękach rodziny Murayama i Uyeno.

Silniejszym finansowo jest drugi koncern „Mainiszi“, popierany silnie przez wielki przemysł i kapitalistów. Dysponuje on również dwoma dziennikami „Osaka-Maimiszi“ i „Tokio-Maimiszi“, o nakładach 1,200.000 i 750.000 egzemplarzy.

Obok tego wymienićby jeszcze należało wychodzące w Tokio: „Yomiura“ (nakład 500 tys. egz.), „Hoszi“ (nakład 350 tys. egz.), wreszcie „Szin - Aiszi“ i „Fukuoka-Nisziniszi“, oba o nakładzie ponad 200 tysięcy egzemplarzy.

A teraz parę słów o samych dzienni-

karzach. Dziennikarz japoński cieszy się w kraju zupełnie wyjątkowym stanowiskiem, pewnego rodzaju nietykalnością. Stoją przed nim otworem wszystkie drzwi, w oczach zwykłego śmiertelnika uchodzi za coś wyższego, niemal niedostępnego.

Gorzej wygląda sprawa z punktu widzenia finansowego. Początkowa płaca — 50 yenów miesięcznie. Jeśli ma naprawdę talent i „nerw“ dziennikarski,

może dojść „nawet“ do 150 yenów. Pensja naczelnego redaktora rzadko przekracza 250 yenów miesięcznie! Coprawda, życie w Japonii jest tanie, a mieszkańcy mają skromne wymagania, nie dające się porównać ze stosunkami w Europie.

Płace te uważać można jeszcze za „królewskie“, jeśli porównamy je z pensjami urzędników w Japonii.

Natomiast prawdziwą gratką dla

dziennikarza jest podróż „służbowa“ za granicę, czy to na teren operacji wojennych, jak np. niedawno temu w Chinach i Mandżurii, czy na Zachód. Na koszty podróży i diety otrzymuje wówczas tyle, że co najmniej połowę może spokojnie odłożyć.

Toteż najlepszą „synekurą“ jest stanowisko stałego korespondenta w Paryżu, Londynie, czy Nowym Jorku, a odwołanie go do ojczyzny, choćby z dużym awansem, uważane jest za dotkliwą karę. (k. r.)

Amery Baltazara i Nastusi

Czytając tak częste obecnie skargi i procesy o niedoszłe małżeństwa, zerwanie słowa przez jedną lub drugą stronę i wyniki z tego zawody i straty materialne, — mimowoli sięgamy myślą wstecz, w mroki siedemnastego wieku, przypominając sobie nieśmiertelne „ni novi sub sole“...

Tak jest, — wszystko to już było, a akta radzieckie miasta Lwowa stanowią pod tym względem prawdziwą kopalnię spraw podobnych, rzucających ciekawe światło na ówczesne obyczaje mieszczan lwowskich.

Jedną z takich spraw jest proces, wytoczony przez bogatego patrycjusza lwowskiego, Baltazara Grabowskiego, młodej, urodziwej Rusince, Nastuni Hrehorowicz.

Imci pan Baltazar był wdowcem, w podeszłym już wieku. Chociaż pochwalić się już mógł wówczas wnukami, — to jednak posiadał serce gorące, a co ważniejsze, ładny mająteczek. „Trzymając najem Kram“ w domu, należał do Wasyla Hrehorowicza, poznał się z córką tegoż, figlarną a sprytną, Nastusią.

Siedm lat wzdychał podtatusiały adonis, znosząc różne prezenty wybrańce swego serca. Siedm lat ludził się nadzieją, że wreszcie stanie z nią na ślubnym kobiercu...

A miał słuszne podstawy tak sądzić: nadobna Nastusia wdzięcznym sercem przyjmowała dary, schodziła się z nim niejednokrotnie, a w liścikach swych niedwuznacznie dawała mu do zrozu-

mienia, że wyjdzie za niego, nawet wbrew woli rodziny.

Co więcej, wobec przyjaciół Grabowskiego, dała słowo, iż chce mu być „przyjacielem dożywoć“, a w liścikach swych poucza go, w jaki sposób ma mówić przed jej „panią matką“, bratem i siostrą, którzy małżeństwu temu byli przeciwni.

W dowód swego niezmiennego afektu, przesyła mu nawet obrazek Matki Boskiej, dołączając do niego krótki wierszyk:

„Ten małańki prezencik niech nie będzie małym,
W oczach Twoich, albowiem sercem —
Jem stałem nieodmienną, życzliwość w nim reprezentuję,
gdy Królowej nad królmi konterfekt daruję.“

Nic dziwnego, że imci pan Baltazar był w siódmym niebie i czekał niecierpliwie na moment, gdy Nastusie będzie mógł wprowadzić do swego domu.

Aż oto spada grom z jasnego nieba: „Inimicus homo“, niejaki Cyrjak Papara, porywa — rzekomo bez wiedzy i zgody jej rodziców — piękną Nastusie z jej domu, uwozi ze sobą i bierze z nią ślub, zupełnie formalny, jakkolwiek zawarty nie w kościele, lecz w domu prywatnym.

Zakpięło wszystko w zdradzoną i wywiezioną niegodnie w pole Baltazarze. Szuka zemsty i satysfakcji, gromadzi materiał dowody, owe kompromitujące liściki, cytuje świadków — i wnosi skargę zarówno do sądów duchownych, jak i do świeckich na ra-

tuszu.

W rezultacie dnia 14 października 1668 roku prawosławny episkop lwowski, Józef Szumlański, rzuca uroczystą kłatwę kościelną na Nastusie i jej męża, Cyrjaka Paparę. Kłatwa ta została wkrótce potem cofnięta, a cała sprawa przeszła do Urzędu radzieckiego.

Nieutulony w żalu pan Baltazar przedkłada w sądzie rachunek swych wydatków i strat, na jakie narażony został z winy Nastusi, wliczając w to nawet „szkody moralne“, jakbyśmy to dziś nazwali:

„Przeto, iż do znacznych szkód mnie przywiodła i kontempta nabawiła i sławy mnie pozbawiła, na com gotów przysiędz, że więcej mam szkód bez niej niż na 3.000 zł.“

Ale i Nastusia nie w ciemie była biła: zarzeka się kategorycznie, jakoby kiedykolwiek dawała Grabowskiemu słowo, lub brała od niego podarki.

Cytuje świadka, który zeznaje, że kiedy była mowa o ewentualnym małżeństwie z Grabowskim, oświadczyła stanowczo: „Nie moja rzecz za Polaka pójść“.

Co więcej, młodzi państwo Paparowie podnoszą ze swej strony roszczenia, domagając się od Grabowskiego odszkodowania 15.000 złotych za „napaść prawną“.

Jak się ten cały proces zakończył, o tem akta radzieckie milczą, — przypuszczać zatem należy, że „strony“ pogodziły się pozasądowo, a — jak zwykle — najlepiej na tem wyszli „prokuratorzy“ czyli adwokaci... (R.)

Telewizja systemu Zworykina

Kwestja przesyłania obrazów na odległość znajduje się ciągle jeszcze w stadium prób, badań i ulepszeń, — jakkolwiek zasadniczo została już ostatecznie i w sposób zadowalniający rozwiązana.

Najpowszechniej znanym jest system przesyłania obrazów zapomocą tzw. „tarczy Nipkowa“, o którym to urządzeniu pisaliśmy już obszerniej w swym czasie. W krótkości tedy przypomnimy tylko, że system ten zasadza się na właściwościach komórki fotoelektrycznej, która otrzymywaną energię świetlną przetwarza na energię elektryczną.

Wytworzony w ten sposób prąd zmienny, po przejściu przez amplifikator przesyłany bywa do lampy neonowej, oświetlającej tarczę odbiorczą, w formie dysku, obracającego się z ogromną szybkością, a zaopatrzonego w szereg otworów. Taki sam dysk, którego obroty są dokładnie synchronizowane z dyskiem odbiorczym, znajduje się i w stacji nadawczej.

System ten ma jedną wielką wadę: szybkość obrotów tarczy nie może przekraczać pewnej określonej granicy, gdyż pociąga to za sobą zmniejszenie się intensywności światła, — w ślad za czem obraz staje się niewyraźnym, zamazanym i ciemnym.

Istnieje jednak i drugi sposób przesyłania obrazów na odległość, a to zapomocą promieni katodowych. Opiera się on zasadniczo na właściwościach tzw. oscilografu katodowego, zrealizowanego po raz pierwszy w roku 1897 przez Ferd. Brauna, profesora na Uniwersytecie w Strasburgu.

Mamy tu do czynienia ze znaną powszechnie tzw. „rurką Brauna“, stanowiącą podstawę tak popularnego dziś oświetlenia neonowego okien wystawowych, reklam itp.

Owe promienie katodowe powstają w ten sposób, iż w hermetycznie zamkniętej rurce szklanej umieszczone są, w próżni, dwie elektrody metalowe, które łączymy z dwoma biegunami prądu o wysokim napięciu. Wówczas na ścianach rurki pojawia się zielonkawe światło, wywołane przez promienie katodowe, czyli elektrony ujemne.

Rzucając snop tych promieni na dno lampki powleczonej świecąca powierchnią i poddając je naprzemiannemu działaniu pola elektrycznego lub magnetycznego, otrzymamy wierną transmisję obrazu, naświetlanego przez te promienie katodowe.

Promienie te nadają się zatem idealnie do telewizji — i szereg badaczy podejmował już oddawna próby w tym kierunku: Rosing, Campbell Swinton (1911), Dauvillier (1923) i ostatnio Manfred von Ardenne.

Najlepsze jednak rezultaty praktyczne osiągnął ostatnio uczony amerykański doktor Zworykin pracujący w laboratoriach firmy R.C.A. Victor Co. w New - Jersey.

Aparat jego składa się z dwóch części: „ikonoskopu“ nadającego obraz, — oraz „kineskopu“ służącego do odbioru.

Największą trudność stanowiło znalezienie dość silnie świecącego ekranu nadawczego i odbiorczego, na których występują transmitować się mające obrazy. Trudność tę pokonał Zworykin w oryginalny sposób: mianowicie na

miejsce tego ekranu daje rodzaj mozaiki fotoelektrycznej, na którą rzuca się obrazy zapomocą obiektywu. Mozaika ta o wymiarach 10×12,5 cm., składa się z trzech milionów maleńkich komórek fotoelektrycznych, rozłożonych równomiernie, lecz izolowanych jedna od drugiej. Umieszczone są one na cienkiej płytce z miki, do której z drugiej strony przylega ściśle płytka metalowa.

Każda komórka zatem stanowi rodzaj maleńkiego kondensatora, odbierającą ładunek elektryczny, przesyłany jej z rurki Brauna, z szybkością 1/25 sekundy.

Nie wchodząc w techniczne szczegóły zaznaczamy, że zapomocą tego urządzenia otrzymać można obrazy znacznie wyraźniejsze niż z pomocą tarczy Nipkowa, — a co najważniejsze, nie cierpi na tem zupełnie intensywność oświetlenia.

Transmisja odbywa się na falach krótkich.

Największą trudność polega na fabrykacji komórek fotoelektrycznych, które zarówno w aparacie nadawczym jak i w odbiorczym muszą mieć zupełnie identyczne wymiary.

Jest to już jednak zagadnienie czysto techniczne i leżące zupełnie w granicach możliwości, zwłaszcza przy zorganizowaniu masowej produkcji tych aparatów.

Jak dziś sprawy stoją, można przewidywać że system Zworykina znajdzie niezadługo powszechne zastosowanie, — a wówczas i ceny tych aparatów, dotychczas bardzo wysokie, staną się dostępne dla szerokich mas radioamatorów, czekających niecierpliwie na praktyczne zrealizowanie telewizji.